

Dziewczyny chcą się po prostu bawić

Kulturowe znaczenia mitu dziewczyności – w jaki sposób ikoniczne teksty kultury kreowały procesy emancypacyjne.

Mam osiem lat, stoję na szkolnej dyskotecie i planuję z koleżanką, że spróbujemy zatańczyć do *The Time of My Life*. Ja podniosę ramiona, a ona skoczy. Ja będę Patrickiem Swayze, a ona Jennifer Grey. Chodzi w tym o to, żeby wziąć dobry rozbieg i odbić się najwyżej, jak się da. Żeby łatwiej było mi unieść koleżankę, to ukucnę w momencie, w którym będzie już blisko mnie. W ten sposób pomogę w wybiciu i od razu uniosę. A jeśli się nie uda? W najgorszym razie się wywalimy. Wizja ta stopuje nasze zapędy, bo świadkami porażki będą dzieciaki z całej szkoły. Najgorzej – jeszcze będą za nami wołać „derti densing”. To będzie nie do zniesienia. Rezygnujemy, już trudno. Lepiej po prostu powyginać się w naszych lajkrowych spodniach i krótkich bluzkach związanych w stylu filmowej Frances. Nie podkładać się ze swoją zbytnią pomysłowością. Nie wychylać, nie szaleć. Bo chociaż byłam wychowana na krnąbrnej Małej Mi z sagi o Muminkach czy anarchistycznej Pippi Pończoszance, to bałam się oskarżenia o „wariactwo” czy odstawanie od normy. Nawet, jeśli zachowanie miałoby potencjalnie być nagrodzone pochwałą czy docenieniem. Bo wyobraźcie sobie miny tych wszystkich, którzy w tajemnicy przed rodzicami włączali kasetę VHS podpisaną „Wirujący seks”! Od razu wiedzieliby, skąd znamy taki układ. Wszyscy staliby się wyznawcami jednej religii: filmowej sceny finałowej.

Popkultura, nawet w późnym PRL-u, była wspólnym doświadczeniem, gdzie kod kulturowy był znany niczym pacierz. Coraz częstsze spoglądanie w stronę zachodniego rozpasania było w 1987 roku symbolem „wiatru zmian”, o którym śpiewał zespół Scorpions. W tym samym czasie Madonna pytała na swojej kolejnej płycie: „Kim jest ta dziewczyna?” opisując bohaterkę jako *troublemaker*, igrającą z ogniem. Niebezpieczne dziewczuchy zaczynają być odpowiedzią na zwrot konserwatywny epoki Reagana, a na naszym rodzimym podwórku – znudzonymi „kryzysowymi narzeczonymi”, które mają dość stania w kolejkach i zadowalania się byle czym. Bo „dziewczyny chcą się po prostu bawić”, jak wykrzykiwała Cindy Lauper. I my również, zamiast podpierać ściany w oczekiwaniu na zaproszenie do tańca, chciałyśmy chociaż raz poczuć się jak w filmie. Na własnych zasadach. Nie czekać na pozwolenie, tylko wpaść do króliczej nory, jak Alicja w Krainie Czarów i zobaczyć, co się stanie.

Tylko coś nas na tej dyskotecie zatrzymało. Nawet nie strach, nie wstyd. Za to konwenanse i niepisanie zasady – zhora wszystkich dziewczynek. Moment, w którym spontaniczność zaczyna być zastępowana socjalizacją. Jak w video Zbigniewa Libery „Jak tresuje się dziewczynki”, w którym pokazana jest rosnąca fascynacja strojeniem się i upiększaniem. Z niewinnego dziecka na naszych oczach powstaje kobieta w wersji próbnej. Moment pomiędzy.

Jakie to dziwne uczucie, tak sobie siedzieć i wspominać siebie sprzed dorosłości. Dziewczyńską, ale nie dziecianną. Na rozstaju, w przedpokoju mądroty i głupiej

egzaltacji. Cała w sobie, problemach sercowych, kolorowych długopisach pachnących truskawką. Sekretach szepczanych na korytarzu, pod rękę, z koleżanką.

Nie wiadomo jednak, w jaki sposób odbierać swój obraz z przeszłości. Niby trudno jest wyrzec się tego, co było i jest utrwalone: na zdjęciach klasowych, w pamiętniku czy we wspomnieniach rodzinnych. Ale za wszelką cenę chcemy zapomnieć i zatrzeć ślad: wybujałej wyobraźni, wdychania do idoli z plakatu, pierwszych miłości. O, te to dopiero powód do wstydu. Bo tu nawet romantyzm jest kiczowaty, przerysowany flamastrami aż do zderzenia kartki. Wspomnienia atakują zwykle w najmniej oczekiwanym momencie. Nam się wydaje, że to trzeba usiąść wieczorem przy zapalanej świeczce i muzyce klasycznej, upić łyk wina i zamknąć oczy. O, wtedy jest czas na zaproszenie przeszłości, na celebrowanie dawnych błędów, wzruszeń, aspiracji. Tymczasem nasza dziewczynność dopada nas z nienacka. Biedne my sprzed lat, biedne nasze dziewczynskie łzy spływające po zaparowanej szybie okna, przez które patrzyłyśmy tęsknie za miłością. Ciekawe, że tak wiele z nas ma podobne wspomnienia: pierwszy wstyd, pierwsze poniżenie, ale i fascynacja.

Idea dziewczynności jest przecież zestawem kulturowych narracji zakorzenionych w historii. Okazuje się często, że określenie „dziewczyna” nie odnosi się do żadnej konkretnej grupy wiekowej, ale traktowane być powinno jako idea i element niedokończonego procesu rozwoju osobistego. Czy zatem ciągle jestem dziewczynką oglądającą *Flashdance* i marzącą, aby zdać do szkoły baletowej (ale myśląc o tym tylko wtedy, kiedy widziałam roztańczoną spawaczkę Alex)? Czy nadal mam swoje widoczki zakopane w ziemi, niczym ekskluzywne wystawy z położonymi pod szkiełkiem skarbami, takimi jak piórko, obrazek czy kokardka? Nigdy nie jest się pewną, kiedy kończy się dziewczynka, a zaczyna kobieta.

Rośniemy do dorosłości albo z nienacka malejemy. Jak u Alicji – wszystko zależy od magicznych syropów. I kiedy dziewczynka stwierdza: „Nie powinnam była tyle płakać. Spotyka mnie teraz za to taka kara, że mogę się utopić w swoich własnych łzach”, ma się ochotę powiedzieć jej: „A płacz, ile wlezie”. Nikt się jeszcze we łzach nie utopił. Płacz nad przeszłością i tym, co przed tobą.

Płacz nad tym, w jaki sposób traktuje się doświadczenie dziewczynek. Odrzuca się je i deprecjonuje, ignoruje, a wreszcie infantyлізуje i zamienia w błyszczący towar do sprzedania. Bo każda idea może być spieniężona i poddana modzie.

Ile nam się w głowach zmieniło, a ile zmienić byłyśmy zmuszone – w imię tak zwanych okoliczności zewnętrznych, w imię dobrze rozumianej „dorosłości”. Czy wieczorami, kiedy nikt nie patrzy, nie zaczynamy pisać w myślach wierszy o zawiedzionych nadziejach, o pękniętych scenariuszach bez happy endu? Jesteśmy na chwilę Dziewczętami z Odzysku, na kredyt chwilowego zaufania. Na kredyt naszej łatwowierności, że nam się coś ciekawego może jeszcze wydarzyć. Co by to miało być – zatańczenie układu z filmu? Odmowa udziału w dorosłości?